

informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 229
kwiecień 2008



MOJE SPOTKANIA Z INDIANĄ JONESEM

Ten numer „Informatora” wchodzi w obieg czytelniczy mniej więcej w tym samym czasie, co czwarta część kinowych przygód nieustraszonego archeologa. A we mnie – bliska premiera filmu „Indiana Jones i Królestwo Kryształowej Czaszki” obudziła garść wspomnień, w większości starszych niż GKF.

Nie znaleźliśmy przygód Jamesa Bonda (a o samej postaci 007 wiedziało się właściwie jedynie z „Księgi strachów” Nienackiego). Cykl opowieści o superszpiegu Jej Królewskiej Mości, zarówno w wersji książkowej jak i filmowej, był de facto zakazany przez cenzurę. Podobnie zresztą jak „Rambo”, „Dziecko Rosemary”, „Egzorcysta”, „Jesus Christ Superstar” i sporo innych tytułów – chociażby cała twórczość Stephena Kinga. A nie było wtedy paszportów w szufladach, telewizji satelitarnej, internetu czy odtwarzaczy VHS, DVD, BR...

I takim kinowym herosem dorosłej młodzieży stanu wojennego został doktor Jones; którego ja zresztą do dziś wolę nieporównanie bardziej niż agenta 007 (jeśli nie chwyciło się w odpowiednim czasie jakiego bakcyła – jest się widać nań uodpornionym).

Zachodnie filmy wchodziły wtedy do kin w niewielkiej stosunkowo liczbie (najwyżej kilka tytułów w miesiącu) – i krążyły po ekranach przez pięć lat, póki licencja nie wygasła. Z uwagi na oszczędzanie cennych dewiz – kupowano je zwykle kilka lat po światowej premierze; ponoć jakiś światowy dystrybutor zaproponował w latach osiemdziesiątych, że gotów jest sprzedawać do Polski filmy na bieżąco i okazynie, jedynie za 2 dolary od każdego kinowego biletu – wymiękł usłyszawszy, że przeciętna pensja w PRL wynosi równowartość od 10 do 20 dolarów miesięcznie.

Trójmiejskie kina w okresie wakacyjnym wykazywały się kapitalną inicjatywą. A mianowicie przedpremierowo wyświetlały z oryginalnych kopii (jeszcze bez napisów, z dialogami czytanyymi na żywo przez lektora) świeżo zakupione hity.

Jednym z tych hitów byli któregoś lata „Poszukiwacze zaginionej Arki”. Kolejka pod kinem Leningrad (obecnie: Neptun) w centrum Głównego Miasta była tak gigantyczna, że zwątpiliśmy – i pojechaliśmy paczką przyjaciół do (nieistniejącego już) kina Znicz we Wrzeszczu. Tam odstaliśmy swoje – i daliśmy się porwać klasycznej magii przygodowego kina w najlepszym wydaniu!

Bodajże rok (a może dwa lata?) później, na również przedpremierowy pokaz „Indiany Jonesa i Świątyni Przeznaczenia”, załapałem się już do Leningradu – ale to tylko dzięki biletowi kupionemu u „konika”, bo pod kasą rozgrywały się sceny dantejskie. Bilet kosztował jakieś trzy- lub czterokrotne przebicie normalnego, miejsce było w pierwszym rzędzie i z boku – więc początkowo miałem dziwnie „wygiętą” perspektywę (po raz pierwszy cieszyłem się, że zamiast napisów jest lektor!); potem jednak wzrok i szyja jakoś się przyzwyczaiły. Byłem chyba dość świeżo po lekturze, wznowionej właśnie „X Muzy” Irzykowskiego – zatem moja radość z tej właśnie części była szczególna!

„Indianę Jonesa i ostatnią krucjatę” obejrzałem najpierw na wideo, podczas któregoś z sobieszewskich Nordconów. Wprawdzie konwenty SF były wtedy głównie nadrabianiem kinowych „białych plam”, ale przed obejrzeniem tego akurat filmu miałem opory: chciałem go jednak po raz pierwszy przeżyć na dużym ekranie... Ciekawość jednak okazała się silniejsza – a na film do kina i tak poszedłem, wiele miesięcy później.

Bardzo się cieszę, iż jestem z pokolenia, które „Indianę Jonesa” poznało w kinie!

O wrażeniach z poszczególnych części nie będę się tu szczegółowo rozpisywać. Swego czasu, jeszcze na łamach „Clapsa”, popełniłem porównawczy esej „Trzy ekspedycje Indiany Jonesa”. Esey przypomniałem jakiś czas temu w „Informatorze”, w ramach cyklu „Z archiwum Pipedżeja” – zainteresowani mogą poszukać go w swych zbiorach lub na internetowej stronie GKF-u.

O serialu (którego część obejrzałem) tu nie wspominam – to jednak inna historia...

URODZINY

Czerwcowi urodzeńcy!
Upojnych letnich kąpiel
w blasku Alfa Centauri
lub innej gwiazdy

życzy Redakcja „Info”

3 Grzegorz Malik
5 Jacek Inglot
9 Beata Wolschon
13 Aleksandra Cetnerowska
17 Michał Marciniak
21 Filip Chawańkiewicz

21 Marta Witkowska
24 Barbara Muchla
25 Bartosz Snarski
26 Piotr Karpiński
29 Paweł Nowak
Krzysztof Pezena



BAŁTYCKI FESTIWAL KOMIKSU GDAK 2008



Czas trwania: 30 maja 2008 r. - 1 czerwca 2008 r.

Miejsce: Gdańsk

Organizatorzy:

Wojewódzka i Miejska Biblioteka w Gdańsku - Pracownia Komiksowa w Gdańsku,
Uniwersytet Gdański - Wydziału Filologiczno-Historyczny

W Trójmieście jest miejsce niezwykle. Miejsce, w którym dzieci mogą nauczyć się wrażliwości na piękno, a dorośli obcować ze sztuką i popkulturą. To Pracownia Komiksowa. Jest to nie tylko jedyny taki ośrodek w Polsce, ale i jeden z niewielu w Europie. Prowadzą go ludzie, którzy pomimo skromnych środków finansowych (Pracownia jest oddziałem Biblioteki Wojewódzkiej) potrafią zorganizować wiele interesujących spotkań dla różnych grup wiekowych, zadbać o rozbudowę księgozbioru komiksowego który już teraz przekracza ponad 4000 woluminów; w języku polskim, ale też w angielskim, niemieckim, francuskim a nawet japońskim) i przede wszystkim sprawić, by każdy, kto przychodzi do Pracowni, choć trochę stał się bardziej wrażliwy na piękno komiksu, a co za tym idzie – na piękno rysunku i słowa pisanego.

Ci sami ludzie, przy wsparciu grupki pasjonatów, organizowali również imprezy o nazwie GDAK, czyli Gdańskie Spotkania Komiksu. W tym roku przedsięwzięcie to zmieni formę i będzie nosić nazwę „Bałtycki Festiwal Komiksu – GDAK”. Impreza odbędzie się w ramach „Bałtyckiego Festiwalu Nauki” – wydarzenia, które co roku przyciąga tysiące uczestników.

Dzięki wsparciu Uniwersytetu Gdańskiego spotkania w ramach Bałtyckiego Festiwalu Komiksu będą miały miejsce w budynkach Wydziału Filologiczno-Historycznego – wyposażonych w sprzęt multimedialny i zaplecze pozwalające na przeprowadzenie wielu punktów programu na wysokim poziomie.

Podczas pierwszego dnia imprezy planowane są spotkania dla nauczycieli oraz uczniów. Specjaliści będą pokazywać, jakie możliwości niesie za sobą wykorzystanie komiksów w procesie edukacji i dlatego warto zachęcać dzieci do czytania komiksów – które nie są wcale zagrożeniem dla literatury, ale wręcz przeciwnie: wspomagają rozwój umiejętności czytania, a przy okazji uwrażliwiają na sztukę. Przewidziane są również warsztaty ze znanymi rysownikami.

Atrakcje dnia drugiego skierowane będą w większej mierze do dorosłych. Całość rozpocznie się od spotkania z dziennikarzami, którzy piszą lub (w przypadku radia i telewizji) mówią o komiksie. Następnie odbędą się prelekcje z udziałem badaczy zajmujących się komiksem. Wśród nich znajdują się osoby uznane na całym świecie (część z nich wstępnie potwierdziła swoje przybycie). Podobnie jak pierwszego dnia odbędą się warsztaty. Jednakże nie będzie to jedynie rysunek, ale też zajęcia z pisania scenariuszy czy robienia przekładów. Wszystko pod okiem polskich oraz zagranicznych rysowników i scenarzystów.

Dodatkowych informacji na temat imprezy oraz możliwości współpracy dla wydawców, mediów i sponsorów udziela:

firma Hanami – oficjalny partner BFK-GDAK

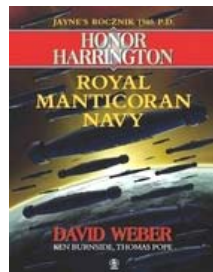
i koordynator współpracy z mediami i sponsorami

hanami@hanami.pl tel. (0) 603-277-785

NABYTKI BIBLIOTEKI GKF

zakup luty - kwiecień 2008

- | | |
|----------------------------------|---|
| Barclay James | Ascendenci Estorei t. 1. Płacz Narodzonych |
| Białołęcka Ewa | Wiedźma.com.pl |
| Bułyuczow Kir | Trzęsienie ziemi |
| Bułyuczow Kir | Nadzy ludzie |
| Canavan Trudi | Nowicjuszka |
| Carey Mike | Mój własny diabeł |
| Dębski Eugeniusz | Krucjata księga II |
| Dębski Eugeniusz | Hell-P |
| Drake David | Po drugiej stronie gwiazd |
| Eddings David & Leigh | Marzyciele t. 4. Młodszy bogowie |
| Haldeman Joe | Kamuflaż |
| Hamilton Peter F. | Nagi bóg. Wiara |
| Hearn Lian | W blasku księżyca |
| Hearn Lian | Na posłaniu z trawy |
| Hearn Lian | Krzyk czapli |
| Herbert Brian, Anderson Kevin J. | Diuna. Dżihad butleriański |
| Kaszyński Mariusz | Skarb w glinianym naczyniu |
| Kay Guy Gavriel | Pieśń dla Arbonne |
| Komuda Jacek | Gaelony wojny t. 2 |
| Leiber Fritz | Mąż czarownicy. Wielki Czas |
| Lloyd Tom | Siewca Burzy |
| Lumley Brian | Khai z krainy Khem |
| Lynch Scott | Na szkarłatnych morzach |
| Łukjanienko Siergiej | Brudnopis |
| MacLeod Ian R. | Dom Burz |
| Marina i Siergiej Diaczenko | Rytuał |
| Martin George R. R. | Retrospektywa t. 2. Żeglarze Nocy |
| McDevitt Jack | Smykałka do wojny |
| Moon Elizabeth | Bez wyrzeczenia |
| Mortka Marcin | Ragnarok 1940 t. 2 |
| Nix Garth | Pani Piątek |
| Novik Naomi | Wojna prochowa |
| Pilipiuk Andrzej | Oko jelenia: Droga do Nidaros |
| Pratchett Terry | Straż nocna |
| Przechrzta Adam | Pierwszy krok |
| Rudazow Aleksander | Arcymag t. 1 |
| Rudazow Aleksander | Arcymag t. 2 |
| Sędzikowska Mirosława | Eus Deus Kosmateus |
| Stephenson Neal | Ustrój świata t. 2 |
| Weber David | Honor Harrington: Royal Manticoran Navy |
| Weber David | Honor Harrington: Ludowa Marynarka |
| Weber David, Evans Linda | Wrota piekieł cz. 1 |
| Wurst Janny | Wojny Światła i Cienia t. 2. Statki Merioru |
| Zahn Timothy | Star Wars: Posłuszeństwo |
| Ziemiański Andrzej | Toy Wars |



ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

maj 2008

MIASTO SZALEŃCÓW I ŚWIĘTYCH (CITY OF SAINTS AND MADMEN) – JEFF VANDERMEER

Wydawca: Solaris

OPOWIADANIA, TOM I – HOWARD PHILIPS LOVECRAFT

Wydawca: Zysk i S-ka

EGZORCYSTA (THE EXORCIST) – WILLIAM PETER BLATTY

Wydawca: Książnica. Wznowienie

INDIANA JONES I KRÓLESTWO KRYSZTAŁOWEJ CZASZKI (INDIANA JONES AND THE KINGDOM OF THE CRYSTAL SKULL) – JAMES ROLLINS

Wydawca: Amber

SPOOK COUNTRY. W KRAJU AGENTÓW (SPOOK COUNTRY) – WILLIAM GIBSON

Wydawca: Książnica

451 FAHRENHEITA (FAHRENHEIT 451) – RAY BRADBURY

Wydawca: Solaris. Wznowienie

MIASTECZKO SALEM (SALEM'S LOT) – STEPHEN KING

Wydawca: Prószyński i S-ka. Wznowienie

POTWORNY REGIMENT (MONSTROUS REGIMENT) – TERRY PRATCHETT

Wydawca: Prószyński i S-ka

HISTORIA PANA B. (MISTER B. GONE) – CLIVE BARKER

Wydawca: Prószyński i S-ka

INNE PIEŚNI – JACEK DUKAJ

Wydawca: Wydawnictwo Literackie. Wznowienie

WALCZĄC Z WROGIEM (ENGAGING THE ENEMY) – ELIZABETH MOON

Wydawca: ISA

NADEJŚCIE NOCY (WHEN TRUE NIGHT FALLS) – C.S. FRIEDMAN

Wydawca: MAG. Wznowienie

USTRÓJ ŚWIATA, TOM III (SYSTEM OF THE WORLD) – NEAL STEPHENSON

Wydawca: MAG

ŚWIT CZARNEGO SŁOŃCA (BLACK SUN RISING) – C.S. FRIEDMAN

Wydawca: MAG. Wznowienie

MAŁE, DUŻE (LITTLE, BIG) – JOHN CROWLEY

Wydawca: Solaris. Wznowienie

AKWAFORTA (ETCHED CITY) – K.J. BISHOP

Wydawca: MAG

KRWIOPIJCY (BLOODSUCKING FIENDS) – CHRISTOPHER MOORE

Wydawca: MAG

PRZENAJŚWIĘTSZA RZECZPOSPOLITA – JACEK PIEKARA

Wydawca: Fabryka Słów. Wznowienie

WOJNA STAREGO CZŁOWIEKA (OLD MAN'S WAR) – JOHN SCALZI

Wydawca: ISA

THE BLADE ITSELF – JOE ABERCROMBIE

Wydawca: ISA

TRZYNASTKA (Black Man) – RICHARD MORGAN

Wydawca: ISA

APOKALIPSA WEDŁUG PANA JANA – ROBERT J. SZMIDT

Wydawca: Fabryka słów. Wznowienie

CIEMNOŚĆ PŁONIE – JAKUB ĆWIEK

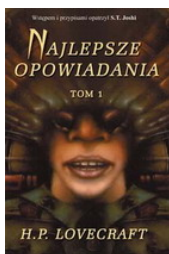
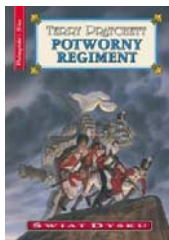
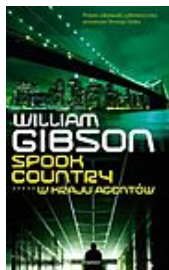
Wydawca: Fabryka słów

CENA KRWI – HUFF TANYA

Wydawca: Fabryka słów

EPIDEMIE I ZARAZY – DRUGA ANTOLOGIA GROZY

Wydawca: Fabryka słów



Na podstawie serwisów: www.esensja.pl, www.solarisnet.pl i www.katedra.nast.pl przygotował

Janusz Piszczek

NIUSY

WYNALAZEK SZURIKA

W gdańskim Klubie Filmowym ruszył cykl prezentacji „Perłki kina radzieckiego”, przygotowany przez DKF „Żyrafa” i Klub Fanów Kina Rosyjskiego „Stalker”. 7 kwietnia zainaugurowała go zwiariowana komedia Leonida Gajdara „Iwan Wasiliewicz zmienia zawód” (luźno zainspirowana jedną ze sztuk Bułhakowa). Za sprawą maszyny czasu zamieniają się miejscami: car Iwan Groźny – oraz tępy współczesny urzędnik. Film jest z roku 1973.

jpp



„GALERA” ZAWIĘŁA DO GDAŃSKA

Superkomputer o tej nazwie, największy w naszej części Europy i jeden największych na świecie, został uruchomiony na Politechnice Gdańskiej. Posłuży naukowcom z różnych dziedzin – i nie tylko tym z Pomorza.

jpp

ZMARŁ CHARLTON HESTON

Miał 84 lata. Grał m.in. w filmach: „Ben Hur”, „Planeta małp”, „Chartum”, „Trzęsienie ziemi”, „Trzej...” i „Czterej muszkietierowie”, „Wyspa skarbów”.

jpp



UFILMOWIENIE TVN7

Ten komercyjny kanał telewizyjny przechodzi metamorfozę: będzie specjalizował się w uporządkowanych tematycznie blokach filmowych (czwartkowe wieczory np. upłyną pod znakiem horrorów).

jpp

„STAR WARS“: KINOWY EPIZOD ANIMOWANY

Film „Wojny Klonów” wejdzie na ekrany 15 sierpnia 2008 r.

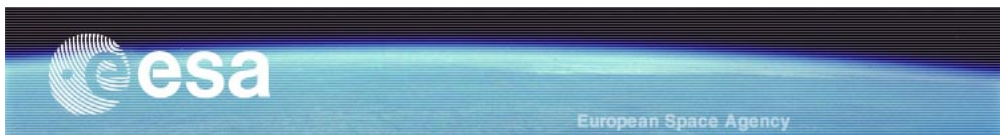
jpp



PRACA CZEKA NA ORBICIE!

Europejska Agencja Kosmiczna poszukuje kandydatów na astronautów. Największe szanse mają inżynierowie, lekarze i absolwenci studiów przyrodniczych; pożądany wiek to 27-37 lat; obowiązkowa znajomość angielskiego (dodatkowe punkty za rosyjski).

jpp



COME BACK STARYCH PRZYJACIÓŁ

Po AlBercie i Conanie – do naszego miesięcznika napisali Andrzej Prószyński i Artur Łukasiewicz. Serdecznie witamy na łamach! I ciągle zapraszamy nowych korespondentów...

red.

ZWYCIEŻCA DYKTUJE WARUNKI...

Ostateczne odpadnięcie z konkurencji odtwarzaczy HD-DVD – prawie natychmiast spowodowało odczuwalny wzrost cen odtwarzaczy blue-ray.

wg. www.gildia.pl

BAJ! BAJ! - BAJKONURZE...

Rosjanie zapowiedzieli rezygnację z, dzierżawionego obecnie od Kazachstanu, kosmodromu Bajkonur – i budowę, do roku 2020, kosmodromu Wostoczniy w dorzeczu Amuru; ma to się też wiązać z odejściem od komercyjnego wysyłania w kosmos bogatych turystów i z ambitnym powrotem do wielkich kosmicznych projektów.

jpp

ELEKTRYCZNOŚĆ Z PŁYWÓW I NURTÓW

Energia elektryczna uzyskiwana z pływów mórz, a nawet z prądu rzek – i to bez zagrożenia dla morskich stworzeń oraz bez budowania zapór ingerujących w otoczenie? Może będzie już wkrótce możliwa dzięki podwodnym turbinom instalowanym przy morskich brzegach i w rzecznych korytach; konstrukcja ich „śmigieł” (obłe kształty, powolne obroty) nie będzie też groźna dla przepływających ryb i innych wodnych stworzeń. Na razie eksperymentalny prototyp – o nazwie Sabella D03 – zainstalowano w Bretanii, u ujścia rzeki Odet. Niestety, w okolicy Jastrzębiej Góry takiego zespołu elektrowni raczej się nie doczekamy: Bałtyk, jako morze wewnętrzne, przyprływy i odpływy ma minimalne...

jpp

JACKSON OSTATECZNIE ODSTĄPIŁ REŻYSEROWANIE



Meksykanin Guillermo Del Toro („Hellboy”, „Blade II”, „Labirynt Fauna”) wyreżyseruje „Hobbita” oraz jego sequel (wypełniający czas akcji do początku „Władcy Pierścieni”). Najbliższe lata spędzi więc głównie w Nowej Zelandii, gdzie pracować będzie nad obydwoma filmami. Przy jego współudziale powstanie także scenariusz produkcji; wstępną koncepcję fabuły przygotowują już Peter Jackson, Fran Walsh i Philippa Boyens – którzy odpowiadali za filmową trylogię.

jpp

CRICHTON MIAŁ RACJĘ

Pięć lat temu poszukiwacze prehistorycznych szczątków znaleźli w Montanie kość udową tyranozaura; była ona tak wielka, że musieli przełamać ją na pół, by zmieściła się do helikoptera. I to dopiero dało początek prawdziwej sensacji: wewnątrz uda zachowały się fragmenty tkanki miękkiej i naczyń krwionośnych! Było to znalezisko wręcz nieprawdopodobne – za nieprzekraczalną granicę uważa się milion lat (potem następuje mineralizacja). Badania resztek wyizolowanego kolagenu ostatecznie potwierdziły modne ostatnio hipotezy: z żyjących dziś zwierząt to ptaki, a nie gady, są najbliższymi genetycznie krewniakami dinozaurów.



jpp

ODSZEDŁ „KRÓL CHAOSU”

W wieku 90 lat zmarł na raka Edward N. Lorenz. Meteorolog, który w początkach lat 60. odkrył „efekt motyla” – tak istotny także w wielu innych dziedzinach nauki oraz w... fantastyce naukowej. Wielu badaczy zalicza teorię chaosu do trzeciej wielkiej naukowej rewolucji XX wieku (obok teorii względności i mechaniki kwantowej).

jpp

OSTATNI Z DZIEWIĘCIU

W wieku niespełna 96 lat zmarł Ollie Johnston, ostatni członek legendarnego zespołu animatorów Walta Disneya, nazywanego często przez Amerykanów Nine Old Men (nazwa ta nie miała nic wspólnego z wiekiem, odwoływała do popularnego



powiedzenia Franklina D. Roosevelta). Pracował dla wytwórni Disneya przez 43 lata. Dzięki jego pracy na ekranie ożywały takie postaci, jak Myszka Miki oraz bohaterowie „Królowny Śnieżki”, „Pinokia”, „Piotrusia Pana”, „Fantazji”, „Bambiego”, „Kopciuszka”, „Księgi dżungli” – i wielu innych. Jesień życia spędzał w domu opieki w Sequim; śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych.

jpp

TYLKO DLA TWOICH OCZU

W brytyjskim Imperial War Museum otwarta została wystawa upamiętniająca życie i twórczość Iana Fleminga – pisarza, który stworzył literacką postać Jamesa Bonda, agenta 007 brytyjskiego wywiadu. Ale w Muzeum Wojny zobaczyć można też wiele przedmiotów należących do filmowych wcieleń superszpiega. Hasło wystawy nawiązuje zresztą do tytułu jednej z powieści i filmu z Rogerem Moore’em. Zorganizowano ją z okazji, przypadającej w tym roku, setnej rocznicy urodzin Fleminga.



jpp

POTTEROWSKIE PREMIERY KINOWE

„Harry Potter i Księżę Półkrwi” – listopad 2008 r.; „Harry Potter i Insygnia Śmierci” cz. I – jesień 2010 r.; Harry Potter i Insygnia Śmierci” cz. II – lato 2011 r.

jpp

DRUGA Z NARNIJSKICH KRONIK WKRÓTCE NA ERANACH

Film Andrew Adamsona „Opowieści z Narnii - Księżę Kaspian” wejdzie do polskich kin dwa tygodnie po światowej premierze (którą zaplanowano na 16 maja).

jpp

TO JUŻ NIE PRIMA APRILIS!

Reanimujemy „Anatomię Fantastyki” – pracą doktorską piątkową) Jolanty Łaby „Idee religijne w literaturze fantasy”.

Więcej o AF #14 napiszemy w „Informatorze” majowym.



pak

KOLEJNY TURNIEJ M:tG

19 kwietnia odbył się w Maciusiu prerelease najnowszego dodatku do Magic: the Gathering - Shadowmoor. W turnieju wzięło udział zaledwie 30 graczy. Po 5 rundach niepokonanym zwycięzcą okazał się Stefan Zachara.

Shadowmoor to lustrzane odbicie sielankowego Lorwyn. Wśród nowych mechanik wprowadzono Wither (obrażenia zadawane za pomocą znaczników -1/-1), Persist (powrót umierającego stwora) i untap symbol.

Kolejny prerelease na przełomie czerwca i lipca.

Ceti



KWIETNIOWE KOMETY

Polscy miłośnicy astronomii aktywnie uczestniczą w projekcie poszukiwania komet na zdjęciach wykonanych przez obserwatorium kosmiczne SOHO. W kwietniu wypatryli trzy komety. W 27 kwietnia swoją pierwszą komętą SOHO znalazł Eryk Banach, uczeń gimnazjum w Krapkowicach koło Opola. Jako 14-latek jest prawdopodobnie najmłodszym uczestnikiem projektu, który wypatrył komętę. Dwie komety znalazł Michał Kusiak, student astronomii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Swoje komety odkrył 9 kwietnia i 23 kwietnia. Nie są to jednak jego pierwsze sukcesy w SOHO Comets - wcześniej dostrzegł komety w dniach 24 listopada i 10 grudnia ub. roku. Wszystkie komety dostrzeżone w kwietniu przez Polaków należą do grupy Kreutza. Ten rodzaj komet charakteryzuje się tym, że ma perihelium (czyli najbliższy Słońcu punkt orbity) w bardzo niedalekiej odległości od naszej dziennej gwiazdy. Ogólnie projekt SOHO Comets zaobserwował do tej pory około 1400 komet. Osiemnaście z nich wypatryli Polacy.

wg: www.wp.pl

FANTASTYKA I POEZJA

Szczególną cechą literackiej fantastyki jest to, że realizuje się ona głównie w epice. Pozostałe rodzaje literackie – liryka i dramat – nie dają takiej możliwości z uwagi na to, że w zasięgu ich nie leży bezpośrednio kreacja świata przedstawionego utworu.

W dramacie świat przedstawiony zdobywa pełną autonomię, pozostając zespołem aktualnych – *in statu nascendi* – działań, eliminując tym samym dystans czasowy narratora do prezentowanych zdarzeń. Istotny jest również fakt, iż *autor podejmujący tematykę SF w tworzywie teatralnym musi się liczyć z wyborem innych środków przekazu, z dodatkowymi możliwościami oddziaływania, jakie daje mu dramat. Nie chodzi tu nawet o sposób prezentacji utworu, konieczność specjalnego rozplanowania treści z podziałem na role, akty i sceny, ale o odmiennie rozłożenie akcentów ideologicznych. Dramat dopuszcza szczególne zaangażowanie emocjonalne [...] daje możliwość wyostrenia sytuacji prozatorskich, rozpisania na role ideologicznych refleksji autora [...]. Wszystko to nie zostało w dramacie polskim wykorzystane [...]. Być może powodem takiego stanu rzeczy była obawa przed wprowadzeniem do tradycyjnego repertuaru teatralnego pomysłów futurologicznych; dalej – trudności z wypełnianiem owego świata didaskaliami z przyszłości*¹. Zasadniczo jednak epikę predestynuje do roli rodzaju literackiego wiodącego w prezentowaniu wypowiedzi fantastycznej jej zdolność do kreacji – w największym stopniu – świata przedstawionego utworu. Niemożliwym byłoby stworzenie literatury opowiadającej o świecie innym niż znany czytelnikowi z doświadczenia pozaliterackiego bez jego opisu, postulat ten zaś spełnić może jedynie epika.

Przeciwnie w liryce: tu kompozycja podporządkowana jest podmiotowi lirycznemu. Z tego właśnie względu opisywana przestrzeń nie może istnieć samodzielnie. Sam zaś układ elementów świata jest uzależniony od charakteru i kształtu przeżyć podmiotu lirycznego². Cechę tę można zaobserwować na przykładzie struktury czasowej, w której uformowana zostaje wypowiedź podmiotu; jest to zawsze czas teraźniejszy, bowiem *nawet jeśli uprzedni czas, w którym realizuje się elementy świata przedstawionego, jest szeroko potraktowany, zostaje on sprowadzony do teraźniejszości*³. Owa sygnalizowana tu właściwość liryki ogranicza jej możliwości narracyjne, zasadniczo koncentruje się ona bowiem na wybranym zdarzeniu, wybierając sytuację najbardziej nacechowaną emocjonalnie. Jednakże to ograniczenie może prowadzić do „pomnożenia” fantastyczności – poprzez przemilczenie, niedookreślenie pozostawione czytelnikowi do wypełnienia w trakcie procesu konkretyzacji utworu. Element fantastyczny w liryce to jednak nie tylko odrealnienie, wprowadzające pierwiastek zagadkowości, lecz przede wszystkim takie zestawienie przedmiotów, które w konsekwencji daje odczucie fantastyczności. Nie należy jednak zapominać o priorytecie w liryce języka nad obrazem. Poezja zwraca uwagę na swoje tworzywo, co wynika z samej koncepcji poezji: jej zadaniem jest bowiem nie tyle przekazywanie odczuć, emocji, przemyśleń twórcy, ile raczej ukazanie, jak wszystkie te zjawiska dążą do zrealizowania się w języku. W takim ujęciu *poezja staje swego rodzaju laboratorium językowym: język jest w centrum uwagi*⁴. Dlatego też zapewne zdaniem twórców *Leksykonu polskiej literatury fantastycznonaukowej* fantastyka jest *takim typem literatury, który swoim wytworom nadaje realny byt w obrębie kreowanej rzeczywistości [...]. Nie występuje natomiast w liryce, gdzie jej sporadycznie pojawiające się elementy (np. obrazy poetyckie w liryce pośredniej) są jedynie składnikami wizji podmiotu lirycznego, z reguły wizji zmetaforyzowanych. Metafora z kolei zaciera granice fantastyki*⁵.

Jednakże, mimo tych zastrzeżeń, spróbujmy odnaleźć wiersze, które można byłoby określić mianem „fantastycznych”. Zachęca do tego decyzja redakcji jedyne

w latach osiemdziesiątych miesięcznika, jakim ówczasie była „Fantastyka”, faktem zamieszczenie na jego łamach stałej rubryki „Poezja i fantastyka”. Ów krok podyktowany został zapotrzebowaniem czytelniczym, co wyjaśniano w następujący sposób: *Wiersze w „Fantastyce”. Już od dawna domagają się ich nasi Czytelnicy. Zespół miał w tej sprawie podzielone opinie. Niektórzy twierdzili, że sama science fiction operuje specyficznym językiem, dostosowanym do treści, które niesie, po cóż więc dodatkowa mowa o poezji. Inny argument przeciwników: wiersze w magazynach SF to unikaty. Prawie ich w tym gatunku nie uświadczysz [...]. Nie traktujemy poezji na naszych łamach odświętnie. Chcemy, żeby stała się chlebem codziennym miłośników SF⁶.*

Gwarancją przynależności owej poezji do szeroko pojętej fantastyki stało się ówczesne kolegium redakcyjne, w skład którego wchodzili nie tylko twórcy literatury fantastycznej: pełniący funkcję redaktora naczelnego Adam Hollanek, Andrzej Krzepakowski (kierownik działu reportażu i informacji) oraz Maciej Parowski (kierownik działu literatury polskiej). Sekundowali im uznani w środowisku miłośników fantastyki krytycy: Andrzej Wójcik (zastępca redaktora naczelnego) wraz z Andrzejem Niewiadowski (kierownikiem działu krytyki)⁷.

Prezentację poezji zacznijmy od przedstawienia wierszy jednego z pionierów powojennej *science fiction* – Adama Hollanka. W 1987 roku wydał on tomik *Pokuty*, w którym dokonuje reinterpretacji motywów literackich ugruntowanych tradycją kulturową: przemijanie, upływ czasu, wreszcie śmierć. Fascynacja nimi wyznacza charakter całego zbioru, który dopełnia refleksja nad sensem życia, którego ostatecznym sprawdzianem jest jego przeciwieństwo – śmierć. Podobnie wzniosłość definiowana zostaje przez rzeczy odrażające, niskie:

*gdyby nie było kiczu
jaskrawo malowanych warg (...)
ani zwierzęcych ciągot (...)
jacy bliźniutcy boga
prosto do nieba
szlibyśmy nie ludzie⁸*

Definiowanie człowieczeństwa poprzez to, co w nim najbardziej prymitywne w swym atawizmie i zwierzęcej potrzebie zabijania, jest tematem również innego wiersza:

*gdyby można było nie jeść
nigdy żadnego mięsa
zdobywanego w bólu
umierania (...)
gdyby zabronić zabijania nawet pajaków
obojętnie o świecie, czy o zmroku złowionych
tygrysowi być tygrysem
myśliwemu myśliwym
coż to byłaby za sublimacja
bez poczucia winy
bez ciała i mięsa
nareszcie roboty
z plastikowymi mózgam⁹*

Co znamienne: mimo iż dla Hollanka-prozaika świat przyszłości wypełniony jest ultranowoczesną techniką – Hollanka-poetę taka wizja Jutra przeraża brakiem poczucia winy. Człowieczeństwo zostaje bowiem wówczas odarte z metafizycznych aspiracji, stając się przede wszystkim aspektem biologicznym bytu, którego podstawą jest cielesność:

*jak się przedostać
przez pięcioksiągi mojąszowe
almanachy mózgow
przez tę pajęczynę
mądrości do wnętrza*

*twoich uczuć (...)
zdobyć niewyraźną
małość(...)
twego tchu
zanim w powietrzu
się rozplynie¹⁰*

Nawet uczucie domaga się fizycznej formy – *dotknąć miłości*¹¹ oznacza bowiem powołać ją do istnienia; sprawić, że stanie się. Jednakże ten fizykalizm nie wyklucza metafizyki – równie jak ciało realna jest dusza, którą

*trzeba mieć [...] zawsze
w pogotowiu¹²*

by móc stanąć przed Bogiem. Pierwiastek duchowy jest niezbędnym dopełnieniem fizyczności, ponieważ to on sprawia, że w stechniczowanym świecie, w którym

*mógłbym z tobą wędrować po globie
srebrnym jak po ziemi¹³*

jest jeszcze miejsce na refleksję nad celowością techniki, zmieniającej ludzi w *roboty z plastikowymi mózgami*¹⁴ :

*czy przyjdzie nam
coś z techniki która z nieba
kruszące pościąga na kołyski dla naszych
dzieci¹⁵*

Podobną problematykę – ocalenie człowieczeństwa w czasach powszechnej dewaluacji duchowych wartości – zawarł w swym utworze, poświęconym animatorowi polskiej fantastyki socjologicznej, zainteresowanej podobną tematyką, Januszowi Zajdłowi, Tadeusz Solecki. W *Bazarze* przeciwstawił sobie dwa obrazy: targowiska, na którym

*mędracy
sprzedawali swoje epistemologie(...)
Tamten
oferował koneksje z tensorami¹⁶*

i Zajdla – odosobnionego nie tylko z powodu oddalenia fizycznego od przekupniów, lecz przede wszystkim z powodu różnic ideologicznych:

*Stałeś
na szczycie góry
której szkliste zbocza
odpierały z pogardą ataki
rynkowego gwaru
i oglądałeś uważnie
ślad stopy
na piasku¹⁷*

Samotność, na jaką jest skazany jako kontestator z wyboru, stawia go ponad tłumem na szczycie góry, oznaczającej symboliczny *duchowy postęp*¹⁸.

O podobnych problemach mówi Grzegorz Białkowski. Tu jednak zmianie ulega perspektywa: podmiot liryczny nie jest już kontestatorem, pragnącym ocalić swe człowieczeństwo, lecz jednym z tłumu. W *kamieniach, które spadły z nieba* jest on jednym z tych, którzy odrzucili możliwość prawdy innej niż ta wynikająca z obiegowych opinii. Ironiczny wydzźwięk tej postawy bierze się z sytuacji, w której wolnomyśliciele – głoszący, iż owe tytułowe kamienie są pozaziemskiego pochodzenia

*zostali ukamienowani
na pamiątkę - jak śmiejąc się mówimy -
tamtego dnia¹⁹.*

Inną drogę poetyckich poszukiwań obrała Bogdan Grzegorczyk, reinterpretując mit o Ikarze, do którego zwraca się z pytaniem:

*ptaku w przestworzach
oddaleś duszę - niebu,
tajemnicę lotu - przeszłości,
ciało - ziemi,
a serce - komu?*²⁰

Pytanie to pozostaje bez odpowiedzi, podobnie jak nierozwiązanym jest dylemat zawarty w *Dagerotypach śpiącego proroka* Jana Tulika:

*jak nazajutrz wyjść z domu
we wszechświat---*²¹

Jak widać, nawet z tak pobieżnego jak powyższy, przeglądu – powtarzają się (podobnie jak w prozie debiutantów) stale obecne poszukiwania formy oddającej najadekwatniej treść; stąd nieufiność wobec świata, wobec tego, co może zaferować współczesne społeczeństwo, w którym

*odeszli bogowie
z upadłych świątyń
jak fakirzy o zreumatyzowanych stawach
pośpiesznie opuszczają
gwiazdne wozy*²²

znajduje odbicie w chaotycznej składni.

Asocjacja skojarzeń, symbolika, obrazowanie kontrastowe – to wyznaczniki tej szczególnej poezji, rozwijającej się niejako na marginesie głównej twórczości pisarzy-fantastów. Przewyciężając klasyczne konwencje jest ona formalnie świadoma osiągnięć poetyckich prądów awangardowych dwudziestolecia międzywojennego i, choć nie wpłynęła w sposób znaczący na kompleksowy obraz polskiej poezji, może stanowić ciekawą próbę poszerzenia gatunku poprzez próbę znalezienia nowej formy wyrazu dla utrwalonych tradycją literacką fantastyki treści.

Adam Mazurkiewicz

Przypisy:

- 1) A. Niewiadowski, *Literatura fantastycznonaukowa*, Warszawa 1992, s. 247- 254.
- 2) Zob.: M. Głowiński, A. Okopień- Sławińska, J. Sławiński, *Zarys teorii literatury*, Warszawa 1991,
- 3) s. 262.
- 4) *Ibidem*.
- 5) Tamże, s. 276.
- 6) A. Niewiadowski, A. Smuszkiewicz *Leksykon polskiej literatury fantastycznonaukowej*, Poznań 1990, s. 272, hasło *Fantastyka*.
- 7) Za: stopka redakcyjna, „Fantastyka” 1984, nr 1 (16), s. 11.
- 8) Informacje te podaję według stopki redakcyjnej, „Fantastyka” 1984, nr 1 (16), s. 2.
- 9) A. Hollanek, *Kicz*, „Fantastyka” 1984, nr 1 (16), trzecia strona okładki.
- 10) A. Hollanek, *Mięso*, tamże.
- 11) A. Hollanek, *Tchnienie*, tamże.
- 12) Tamże.
- 13) A. Hollanek, *Stanze kosmiczne III*, tamże.
- 14) *Ibidem*.
- 15) A. Hollanek, *Nieludzkie*, tamże.
- 16) A. Hollanek, *Mięso*, tamże.
- 17) A. Hollanek, *Nieludzkie*, tamże.
- 18) J. Solecki, *Bazar (pamięci J. A. Zajdla)*, „Fantastyka” 1984, nr 3 (54), trzecia strona okładki.
- 19) M. Oesterreich- Mollwo, *Leksykon symboli*, Warszawa 1992, przekł. J. Prokopiuk, s. 46, hasło *Góra*.
- 20) G. Białkowski, *kamienie, które spadały z nieba*, „Fantastyka” 1986, n 1 (40), s. 58.
- 21) B. Grzegorzczuk, *Ikar*, „Fantastyka” 1984, nr 12 (27), s. 65.
- 22) J. Tulik, *Dagerotypy śpiącego proroka*, „Fantastyka” 1987, nr 12 (63), trzecia strona okładki.
- 23) M. Rygielski, *** [inc. *Wieczorami*], „Fantastyka” 1988, nr 10 (73), trzecia strona okładki.

PODZWONNE DLA DAVIDA EDDINGSA

czyli KONIEC PEWNEJ EPOKI
albo KILKA TEORII SPISKOWYCH

Uwielbiam wielkie cykle Davida Eddingsa: *Belgariadę*, *Malloreon*, *Elenium* i *Tamuli*. Dwa, jakże różne światy, wspaniale dopracowane – każdy z własną geografią (trochę nieprecyzyjne nazewnictwo, ale nie wiemy jak nazywały się planety), z własną historią, stosunkami społeczno-politycznymi, etc. Dynamiczna akcja, dowcipne dialogi (niektóre z nich sam cytuję przy różnych życiowych okazjach) i kapitalne mapy (autorstwa Shelly Shapiro, Claudii Carlson i trzeciego, nieznanego, rysownika).

Co kilka lat czytam cykle ponownie i zawsze odkrywam coś nowego. Szczęściem dla nas, czytelników, tłumacze tych powieści klasyfikują się między „bardo dobry” a „znakomity”.

Bardzo pokrzepiający jest w cyklach motyw Bogobójcy. Oto nasi dzielni chłopcy: Sparhawk i Garion, ludzie (prawie) jak my, dopieprzyli tym paskudnym, złym bogom. A Sparhawk, gdy zaproponowano mu etat boga – pokazał wysunięty palec.

Tolkienem to on (Eddings) nie jest, ale można go nazwać rewelacyjnym rzemieślnikiem pióra. Celowo nie wspominam tutaj o żonie Eddingsa – Judith Leigh Eddings. O niej będzie niżej.

Po zakończeniu cyklu *Tamuli*, Eddings raz jeszcze powrócił do świata Belgariona i wydał „wspominki” czarodzieja Belgaratha (*Belgarath Czarodziej*, *Czas niedoli*, *Tajemnica*) oraz *Polgarę Czarodziejkę*. Była to okazja dla czytelników, aby jeszcze raz odwiedzić ten świat, poznać jego historię, znaleźć okruchy dalszych losów Gariona i Ce’Nedry.

Rok później ukazał się *Kodeks rivański* – suplement do całości. Bardzo ciekawy i urozmaicony, aczkolwiek pewne historie – powtórzone trzeci czy czwarty raz – zaczęły nużyć.

Minał kolejny rok i ukazała się powieść „Odkupienie Althalusa”. Początkowo wydawało się, że wreszcie wrócił stary, dobry Eddings. Bliskie kontakty trzeciego stopnia bohatera z pewną boginią specjalnie nie raziły, bo w *Elenium* i *Tamuli* przyzwyczailiśmy się do przesympatycznej, „całusnej”, bogini-dziecka Aphrael. Jednakże w drugiej połowie tekstu powieści Eddings zaczął majstrować przy linii czasu. „Hola! Hola!” – chciałoby się zacytować pewnego posła PIS. Magia ma swoje zasady i prawa! Co za dużo, to niezdrowo! Zmieniając w przeszłości przyczyny – zmieniamy skutki i z dwa rozdziały z początkowej części powieści w ogóle się nie zdarzyły lub miały inny, mniej ciekawy przebieg. To jest denerwujące dla czytelnika. Wydawnictwa nie powinny płacić autorom za anulowany tekst!

I tak dochodzimy do cyklu *Marzyciele* (*The Dreamers*). Fama głosi, że Eddingsowie skasowali od wydawnictwa zaliczkę w wysokości 5 mln \$!

Pierwszy tom *Starsi bogowie* przeczytałem w ciągu kilku godzin. Dobnąłem do ostatniej strony z bardzo mieszanymi uczuciami. Powtórzyły się już ograne motywy: boginka-dziecko (a właściwie kandydatka na boginię) uwielbiana pocałunki, niezbyt inteligentni bogowie, odgrzewane dowcipy i dialogi... A wszystko to jakieś miłkie i nieporadne.

„Nic, to!” – powiedziałem sobie. „Dawidek dopiero się rozkręca. W dalszych tomach pokaże lwi pazur!”. Niestety – z tomu na tom było coraz gorzej. Brak na tych łamach miejsca, bym mógł się w pełni wyżyć. Napiszę tylko o dwóch sprawach, które mnie najbardziej denerwowały:

- tłum mało rozgarniętych bogów i bogiń (w porywach do 10-ciu), ciągle płaczących się pod nogami ludzkich bohaterów, fraternizujących się z nimi, nieporadnych i naiwnych jak dzieci. Niby to mających opiekować się ludźmi, ale właściwie nie wiadomo, co robili przed wojną z Vlaghiem. Aha – potrafią robić cegły ze złota;
- rozumiem, że jest taki chwyt w warsztacie pisarskim, że jakieś wydarzenie opisuje się kilka razy z punktu widzenia różnych osób. Od drugiego tomu Eddings stosuje tę metodę raz po raz. Dotyczy to nie tylko ważnych wydarzeń (np. samounicestwienie bogini Aracii), ale i nieważnych (np. przemarsz wojska na wyznaczoną pozycję, drobna potyczka, itp.). Co kilkanaście stron to samo wydarzenie jest opisywane (w prawie tych samych słowach) ze strony 3-5 osób! W rezultacie ok. 1/6 tomów 3. i 4. – to powtórzenia. No tak, trzeba było coś napisać za te 5 mln \$!

Dlaczego Eddings napisał takie bzdurzenie?

Jest na ten temat kilka hipotez:

- 1) Michał Szklarski: cykl *Marzyciele* został napisany przez 10-letniego wnuka Eddingsa, a dziadek wydał pod swoim (i babci) nazwiskiem. Nic nie wiemy o tym, aby Eddings miał wnuka, więc do czasu uzyskania wiarygodnych informacji – hipotezę odrzucamy.
- 2) Janusz Piszczek: Leigh była złym duchem Davida. Póki pisał sam – było dobrze. Gdy została współautorem – było coraz gorzej. Teraz, gdy odeszła, odrodzi się dawny, rewelacyjny Eddings! Hipoteza dość prawdopodobna, lecz ją odrzucam, bo mam własną.
- 3) Ja: Leigh była dobrym duchem Davida. Pomagała mu pod każdym względem (sam to przyznaje w *Kodeksie rivańskim*), motywowała, ukierunkowywała, podsuwała pomysły, pędziła do roboty, adiustowała etc. Gdy obłożnie zachorowała, David musiał sam pisać i napisał to, co napisał.

Wracając do *Marzycieli*... Na samym końcu 4. tomu cyklu, po zwycięstwie nad hordami potworów, bogowie chcieli nagrodzić łuczniczkę Długą Strzałę za zasługi wojenne. Poprzez cztery tomy Długa Strzała był bardzo smutny, gdyż przed laty jego narzeczona Słodka Woda została zabita przez potwory z Pustkowie. Długa Strzała z zemsty wyspecjalizował się w eksterminacji tychże. Bogowie postanowili cofnąć czas do momentu przed śmiercią Słodkiej Wody. Śmierć ta zresztą nie mogła nastąpić, bo nie było żadnych potworów. (Vlagh został zneutralizowany w teraźniejszości, ale to jakoś zadziało wstecz w czasie. Nie bardzo to rozumiem, ale nieważne...).

Tak więc, Długa Strzała ożenił się ze Słodką Wodą i żyli długo oraz szczęśliwie. W nowej linii czasowej cała historia opisana w 4 tomach cyklu w ogóle się nie wydarzyła.

Proponuję, aby tę metodę wykorzystać. Uznajmy, że w naszej linii czasowej cyklu *Marzyciele* nie napisano – po prostu nie istnieje. Zapamiętajmy Davida Eddingsa jako twórcę wspaniałych światów Sparhawk i Belgariona. A propos: nabrałem ochoty (trochę przed czasem), aby kolejny raz przeczytać Eddingsa. Zaraz zacznę od *Pionka prorocтва*.

Krzysztof Papierkowski

P.S. 7 lipca br. David Eddings ukończy 77 lat. Przypomnijcie mi, bym wysłał mu maila z życzeniami zdrowia.



FILM NIE DO STRASZENIA



Czy horrory kogokolwiek dziś jeszcze straszą? Mam wrażenie, że ich głównymi celami są dziś odtwarzanie sprawdzonej konwencji oraz zarobienie kasy dla producentów. Ostatni naprawdę budzący grozę film grozy, jakie pamiętam, to „Obcy” Ridleya Scotta. Potem był jeszcze kosmiczny „Horyzont zdarzeń” (*Event horizon*), u nas wyświetlany jako „Ukryty wymiar”), eksperymentalny „Blair Witch Project” oraz mnóstwo schematycznych produkcji w rodzaju „Kręgu” – nadających się akurat na to, by obejrzeć je jeden raz i zapomnieć. „Okno” (*The Eye*), remake – ponoć – jednego z najpopularniejszych horrorów z Hong Kongu, wpisuje się w ten ostatni nurt.

Sydney, niewidoma skrzypaczka, poddaje się transplantacji oczu. Operacja udaje się nadspodziewanie dobrze, ponieważ zaczyna widzieć nawet to, czego nie widzą inni: zmarłych, odprowadzającą ich śmierć, a do tego wizje pożarów. Jak łatwo się domyślić, wizje biorą się z oczu, a ściślej z pamięci komórkowej, w której kodować się mają cechy dawcy przeszczepu. Sydney rozpoczyna poszukiwania owego dawcy, a towarzyszy jej w tym Paul Faulkner, psycholog, mimo swego przekonania, że Sydney ma zwidy wynikłe z nieprzystosowania do nadmiaru odbieranych bodźców. W trakcie wyprawy zobaczymy, do czego służą wspomniane wizje oraz co znaczą hiszpańskie słowo *el bruja*.

Nie jest to wielki film, ale i nie taki zły – widziałem gorsze. Jest to solidnie zrealizowana rozrywka bez ambicji, której główną zaletą jest zręczne odstawianie zagadki tajemniczych wizji, a główną wadą – niemal całkowita przewidywalność fabuły. Aktorstwo jest przeciętne, na tyle dobre jednak, że nie razi. Muzyka - pewnie jakaś była, ale nie zapamiętałem, więc raczej nie było spektakularnych, wpadających w (moje) ucho motywów. W sumie „Okno” to przeciętna produkcja, od której nie można oczekiwać niczego strasznie wybitnego. W braku lepszego zajęcia można obejrzeć, ale nie trzeba.

Michał Szklarski

„Okno” (*The Eye*). USA 2008. **Reżyseria:** David Moreau, Xavier Palud. **Scenariusz:** Sebastian Gutierrez oraz Jo Jo Yuet-chun Hui, Oxide Pang Chun i Danny Pang (oryginalny *Jian gui/Gin gwai* z 2002 r.). **Obsada:** Jessica Alba (Sydney Wells), Alessandro Nivola (dr Paul Faulkner).



mimzy ^{TEXT BY GURKIN} strata czasu?

Niedawno zasiadłem do komputera, żeby obejrzeć film *Mimzy – mapa czasu*, reklamowany jako „E.T. nowego pokolenia”. Gdzieś w połowie zorientowałem się, że fabuła przypomina mi klasyczne opowiadanie Kuttnera, znane u nas pod tytułem *Tubylczykom speły fajle*. Zaglądając do zbioru pod tym samym tytułem przekonałem się, że oryginalny tytuł brzmi *Mimsy Were the Borogoves*, a więc byłem na dobrym tropie. Co prawda *Mimsy* zmutowało w *Mimzy*, ale niech tam. Zrobiło się interesująco.

Dla tych, którzy nie czytali bądź zapomnieli: dwoje dzieciaków znajduje niezwykle pudło z zabawkami, pod wpływem których zaczynają się dziwnie zachowywać i nabywają paranormalnych zdolności. Tyle w filmie. Natomiast w opowiadaniu kładzie się nacisk na zmianę sposobu myślenia, które już wyjściowo różne (jak to u dzieci) zmienia się drastycznie pod wpływem zabawek, aby zaowocować czymś zasadniczo (dla dorosłego) obcym. Przesłanie Kuttnera jest następujące: my, dorośli, nie myślimy we właściwy sposób, dzieci zresztą też nie, ale one przynajmniej mają szansę się rozwinąć, podczas gdy dla nas jest już na to o wiele za późno. Opowiadanie kończy się dokonaniem przez dzieci Przejścia do miejsca, które „technicznie rzecz biorąc nie znajduje się na Ziemi” i, jak sugeruje autor, jest właściwym środowiskiem człowieka.

Co z tego zostało w filmie? Właściwie nic. Scenarzysta przyznaje wprawdzie, że „potencjał dziecka jest właściwie nieograniczony, ale wraz z dorastaniem ograniczamy się ucząc się robić rzeczy w określony sposób”. Jednocześnie jednak wyznaje z rozbijającą szczerością, że finał opowiadania był nie do przyjęcia, bo „strata dziecka byłaby dla rodziców niezwykle traumatycznym przeżyciem”. I oto skutek: film jest tak słodki, że aż zęby boją. Dzieci bynajmniej nie kwapią się z Odejskiem, wręcz przeciwnie, robią wszystko, żeby zostać, odsyłają za to zabawki do nadawcy, który czeka na nie z niecierpliwością. Nic dziwnego, reżyser bowiem twierdzi, że jest to film „pokazujący relacje w kochającej się rodzinie”. Deklaruje też, że opowieść, którą tak zmasakrował, jest „jedną z jego ulubionych jeszcze z czasów dzieciństwa”. Jak to pogodzić? Myślę, że diagnoza Kuttnera ma szersze zastosowanie. Są ludzie, którzy jak autorzy i czytelnicy SF (lub dzieci) są otwarci na nowe, interesujące koncepcje i inni, którzy jak ludzie Hollywood (lub dorośli) myślą szablono i przewidywalnie aż do bólu.

Nie twierdzą, że film jest zły. Wręcz przeciwnie, jako kino rodzinne sprawdza się całkiem nieźle. Zawiera bardzo dobre efekty specjalne, dziecięcy aktorzy grają świetnie (znacznie lepiej od dorosłych), fabuła, mimo licznych udiwnień, wciąga – tylko ten Kuttner... wręcz słyszę, jak się przewraca w grobie. Prawdopodobnie dlatego portal FilmWeb jest pełen krańcowo różnych opinii na temat filmu (średnia ocena 7,15/10). Najfajniejszą z nich przytaczam dosłownie:

„Tubelczykom speły fajle”

Troche wiary mi brak że któreś tu kupowało słowo drukowane z wydawnictwa ISKRY(1985r btw). deko inne tam zakończenie.

Ale tłumaczenie tam było jak nigdzie indziej. Stąd stres przed projekcją w kinie, napisy mam se zasłaniać czy jak..

Jak już Kuttnera zaczynam ekranizować to koniec blisko. howg.

Andrzej Prószyński

P. S. Zarówno opowiadanie jak i film eksploatują wiersz Lewisa Carrolla *Jabberwocky*, który u Kuttnera jest zaszyfrowaną instrukcją Przejścia – i w oryginale brzmi następująco:

*Twas brilling, and the slithy toves
Did gyre and gimble in the wabe:
All mimsy were the borogoves,
And the mome raths outgrabe.*

Oto znane mi trzy różne tłumaczenia:

1. z opowiadania Kuttnera - Jolanta Kozak:

*Bzdreżyło. Szłapy maślizgajne
Bujowierciły w gargazonach.
Tubylczykom spełły fajle,
Humpel wyhycnął ponad.*

(warto dodać, że Kuttner tłumaczy, w czym rzecz, zwłaszcza *wyhycnąć ponad* jest dość sugestywne)

2. z *Alicji* i filmu *Jabberwocky* - Maciej Słomczyński:

*Było smaszno i jaszmije smukwijne
Świdrokrętnie na zegwniku wężały
Peliczaple stały smutcholijne
A zbłąkinie rykoświstąkały.*

(w omawianym filmie wstawiono *Mimzy* zamiast *Peliczaple*)

3. z dodatków do filmu *Mimzy* – tłumacza nie podano:

*Brzdeśniało już; ślimonne prztowie
Wyrło i warło się w gulbieży:
Zmimszale ćwiły borogowie,
I rcie grdypały z mrzerzy.*

I niech ktoś mi teraz powie, który przekład jest "prawidłowy"!

MIMZY: MAPA CZASU

Tytuł oryginalny: THE LAST MIMZY

Gatunek: familijne

Reżyseria: Robert Shaye wg opowiadania H. Kuttnera "Mimsy Were the Borogoves", 2007

Obsada: Rhiannon Leigh Wryn, Joely Richardson

Data premiery: 14 lutego 2008 r.

Czas trwania: 92 min.

Okazuje się, że Mimzy
jest pluszakiem!





Ucieczka ze Starej Szkocji

(szalona na maksa zresztą)

Tytuł: Domsday

Produkcja: UK, 2008

Gatunek: Postapokalipsa

Dyrekcja: Neil Marshall

Za udział wzięli: Lara Croft, Malcom McDowell, Bob Hoskins, Dr. Bashir

O co chodzi: Żołdacy faszystowskiego reżimu najeżdżają żyjącą w pokoju ludność Szkocji

Jakie to jest: Dla wielu z nas postapokalipsa jest jednym z najważniejszych gatunków filmowych na świecie – o ile nie najważniejszym w ogóle. Jest

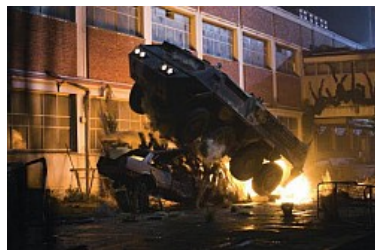
coś ulotnie romantycznego w pościgach samochodów z kolumnami, zdegenerowanych bandach uczesanych w irokeza, pustynnych krajobrazach i ruinach opuszczonych miast. A że w okolicach tych przebywa najczęściej nasz niepokonany bohater (rzadko kiedy całkiem pozytywny), wysyłający na łono Abrahama rzesze mutantów i innych wrzeszczących przeciwników, efekt jest prawie zawsze satysfakcjonujący.

Niestety, wygląda jednak na to, że gatunek przygodowej, brutalnej postapokalipsy przeminął wraz z dekadą lat 80., w której się narodził. Następne lata serwowały nam albo P/A oparte na hi-conceptach („I Am Legend”), albo oparte na zombies („Resident Evil 3”), albo hollywoodzko ugrzecznione („Waterworld”). Od klasyki odeszliśmy zatem dość daleko – aż do teraz.

Neil Marshall, po sporym sukcesie „Dog Soldiers” i jeszcze większym „Descenta”, postanowił wziąć się za wykopane kino wysokobudżetowe. I jak to często w takich przypadkach bywa – zrealizował swój projekt marzeń oparty na planach z dzieciństwa i inspirowany klasykami młodości. Stworzył zatem kino postapokaliptyczne w niemal czystej postaci – acz ze sporą dawką postmodernizmu, inspirowane praktycznie wszystkim, co się liczy w tym gatunku, plus kilkoma motywami dodatkowymi.

Kwiecień 2008, czyli swojskie czasy. W Glasgow wybucha epidemia wirusa o bardzo oryginalnej nazwie Reaper. Rząd UK nie jest w stanie opanować błyskawicznie postępującej infekcji, więc wpada na bardzo racjonalne rozwiązanie. Odgradza Szkocję od reszty świata murem Hadriana – odbudowanym w żelbetowej, 10-metrowej postaci, strzeżonej przez wojsko i automatyczne działa. Mur staje się zarazem nagrobkiem dla milionów uwięzionych za nim ludzi, którzy bez nadziei na jakikolwiek ratunek stopniowo wymierają na epidemię wirusa – nie zapomniawszy się jednak wcześniej stoczyć w odmęty amoralnego apokaliptycznego amoku. Szkocja umiera we własnych rzygolinach, gwałcąc się i pożerając nawzajem.

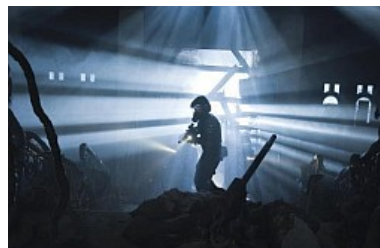
Mija 30 lat, ludność świata żyje sobie udając, że nic się nie wydarzyło – do tego stopnia, że rząd brytyjski wstrzymuje pracę nad szczepionką na Reapera. Jednak sprawiedliwości dziejowej stało się zadość: Wielka Brytania tonie w recesji, zamieniając się niemal w kraj trzeciego świata, pełen żyjących w ścisłym bezrobotnych i bezdomnych, utrzymywany przy życiu tylko przez faszystowski aparat przymusu. I w tych właśnie rozkosznych okolicznościach w Londynie pojawia się Reaper. Pomimo izolacji centrum miasta rząd zdaje sobie sprawę, że w ciągu 48 godzin epidemia stanie się nie do opanowania. Jediną nadzieją jest misja do opuszczonej Szkocji, gdzie – jak wieść gminna niesie – być może udało się znaleźć szczepionkę na wirusa. Miały tego dokonać pozostawiony tam niejaki doktor Kane, który wzorem pułkownika Kurtza stworzył swoje własne utopijne społeczeństwo.



Do tego zadania zostaje wyznaczona jednoosobowa Major Sinclair (Rhona Mitra), która wzorem Snake'a Plisskena musi przeniknąć za mur bezprawia i w oznaczonym czasie powrócić ze szczeniakiem. Wzorem „Alians” – Sinclair do pomocy dostaje oddział woja wyposażony w mega-na-wypasie broń i osprzęt, a za sam mur śmierci dostaną się specjalnymi wozami pancernymi, wzorem Czarta Tannera z „Alej potępienia”.

Po przekroczeniu muru nasi wojacy trafiają do niegościnnego świata składającego się głównie z ruin, pełnego zbrojnych w pałki z kolcami punkowców na motorach. Zanim misja przystojnej Major Sinclair dobiegnie końca, będziemy świadkami numeru musicalowego, wizyty w średniowiecznym zamku, przeszukania magazynu z Arką Przymierza, przejażdżki zabytkową koleją, a wielu bohaterów nie doczeka końcowych napisów ginąc w starciach z tłumem wroga wzorem Rangersów z „Black Hawk Down”. Nie zapomnijmy też o motoryzacyjnym starciu na drodze z konwojem irokez-wykolejeńców, którego nie powstydziliby się sam Max Rockatansky.

Powiem krótko: „Doomsday” funduję nam oszałamiającą dawkę akcji w stylu lat 80., podaną w tempie XXI wieku. Mamy tu i strzelaniny, i bijatyki, i pościgi, i akrobacje, i genialne sceny napięcia – na których można odwalić z nerwów. Wszystko to podane w opętającym montażu, gdzie niektóre ujęcia mają po kilka klatek i z mega-rozmachem zdjęciowym. Jest to niemal wzorowo (aczkolwiek hollywoodzko) wykonane kino akcji! I choć każdą kliszę rozpoznajemy do bólu i każda akcja ma dla nas oczywiste zakończenie – z przejściem chłonimy z ekranu mieszanek emocjonalno-wizualną. Aż dziw bierze, jak po dwóch poprzednich, właściwie kameralnych filmach, Marshall dał radę tak swobodnie zrobić takiego spasa.



Ilość wątków i motywów w filmie po prostu przechodzi ludzkie pojęcie: od epidemii, przez hitcchowych komandosów po fantasy (jak wspominałem ilość nawiązań do klasyki jest gigantyczna). Najniższe jednak ukłony „Doomsday” wykonuje oczywiście w stronę „Mad Maxa” i „Ucieczki z Nowego Jorku”, na co zresztą wskazują nazwiska dwóch żołnierzy z oddziału (Miller i Carpenter – zresztą typowy chwyt Marshalla).

„Doomsday” wpisuje się też w popularny ostatnio ciąg filmów, których post-punkowi twórcy podświadomie tęsknią najwyraźniej do faszystowskich rządów w UK („V for Vendetta”, „Children of Men”, „28 Weeks Later”). Nie wiem, może to jeszcze jakieś kontestacyjne wspomnienie po latach 80. – na co może wskazywać fakt, że np. doomsdayowy premier nazywa się Hatcher... Co ciekawe: motyw ten ponownie się sprawdza; tu np. scena zamykania przez wojsko bramy w murze jest naprawdę megamocna i wstrząsająca.

A' propos punków. Świat post-Szkocji zamieszkuje ciekawa subkultura wytatuowanych irokezowców zajmujących się głównie bieganiami z wrzaskiem, jak również konsumpcją innych przedstawicieli gatunku ludzkiego. W wolnych chwilach oddają się rozrywce typu burleska, serwowanej przez swojego szefa imieniem Sol. Jak nietrudno się domyśleć, to właśnie Sol jest głównym złym, z którym będzie musiała zmierzyć się Major Sinclair.

Mimo obecności całego oddziału – film ma zasadniczo jedną główną bohaterkę w postaci pani Major, nazywanej tak wzorem Major Kusanagi. Sinclair pochodzi właśnie z odciętej Szkocji, skąd uratowała się jako mała dziewczynka w ostatniej chwili przed zamknięciem bram w murze. Prezentuje typowy archetyp P/A antybohatera: cyniczny, pozornie wszystkoudpiemający, ale skrywający jakieś uczucia i hołdujący zasadom, a przy tym megakillerski. Acha, i mimo swoich lat ma całkiem na miejscu tyłek. Wśród innych bohaterów pojawiają się rewelacyjny jak (prawie) zawsze Bob Hoskins jako szef policji oraz Malcom McDowell jako Kane. O tym ostatnim niestety mogę powiedzieć tylko tyle, że jego postać jest mocno zmarnowana – i poza kilkoma patetycznymi tekstami niewiele wnosi do filmu. Także jego filozoficzne podejście do całej kwestii epidemii i nowego ładu służy bardziej jako ozdobnik fabularny niż jakikolwiek element konstrukcji filmu; szkoda... Dobrze jednak, że to McDowell, który potrafił tchnąć jednak jakiś kult w tę kiepsko napisaną postać.

„Doomsday” bowiem, mimo całej swojej wzorowej realizacji, niestety momentami też nawala. Po pierwsze: film jest pełen małych i dużych głupotek logicznych – jak np. dość swobodne podejście bohaterów do procedury odkażania się po kontakcie z morowym powietrzem. Innym wkurzającym motywem jest też fakt, że ludność urodzona i wychowana już po zagładzie Szkocji posługuje się całkiem normalnym językiem i słownictwem, zamiast przejść na jakieś pocharkiwania i bełkot. Również ich poziom higieny czy wyczucie estetyki mało licuje z wizerunkiem degeneratów-kanibali. Momentami kuleje też dramatyzm filmu – po pierwszej strzelaninie z wrogiem akcja mocno przysiadła i widać, że Marshall nie bardzo miał pomysł co zrobić z drugim aktem. Także np. starcie Sinclair z laską Solą jest takie sobie – zarówno wizualnie (siekana walka dwóch ewidentnie nie umiejących walczyć aktorek), jak i fabularnie (laski po prostu spotykają się i zaczynają łąć). Jakże lepiej ta scena przebiegałaby np. na dachu uciekającego pociągu... Ostatni duży zarzut to sam główny zły, czyli Sol. Nie sprawia wrażenia groźnego przywódcy (kiwka, Lord Humungus), raczej „inteligentnego świra”. Jego postać jest strasznie płaska; pomijając, że sam odtwarzający go Craig Conway średnio nadaje się do tej roli.

Audio-wizualnie film łączy dwa style. Zdjęcia to czysty rok 2008. Zmieniająca się kolorystyka w zależności od miejsca akcji; fajne, czasami dość ekstremalne oświetlenie; kamera w miejscach dziwnych i strasznych – to się podoba. Natomiast muza to typowy pastisz kina akcji naszej młodości. Tyler Bates dał radę fajosko naśladować ten styl – jednak bez robienia z niego retro. Nie ma jednak obaw: Hansów Zimmerów tu nie uświadczymy.

Zapewne zapytacie: skoro ten film jest taki super i prawie tu zemdlałeś Komander – to czemu nie dałeś mu „film podobał mi się”? Otóż po wyjściu z kina nie pozostawia on tego wrażenia, które pozwala nazwać film bezbłędnym megawypasem. Gdzieś tam pamiętamy nie do końca płynne przejścia akcji, gdzieś tam czujemy, że finały poszczególnych scen nie zawsze dają nam poczucie zadowolenia z dobrze obejrzonej epki. Wydaje się, że podczas pisania scenariusza Marshall miał pomysły na masę fajnych scen – ale nie zawsze wiedział, jak je dobrze wykorzystać czy zamknąć. I o ile wszystkie logiczne słabości fabuły udało mu się zamalować świetną akcją, o tyle na koniec filmu czujemy jakiś mieszany posmak...

Ale. „Doomsday” to czyste P/A. To czyste lata 80. zapodane dla widza, którego nie było wtedy jeszcze na świecie. Więc omińcie poprzedni akapit – i zasuwasjcie do kina!

Ocena (1-5):

Anarchy in the UK: 5

Klimacik 80s: 5

Epa: 5

Fajność: 5

Cytat: It's feeding time in the fucking ZOO!

Ciekawostka przyrodnicza: Pierwotnie muzyka w filmie miała być wyłącznie syntezatorowa, jak u Carpentera. Jednak okazało się, że takie podejście słabo gra z nowoczesnym montażem akcji, więc zdecydowano się na bardziej konserwatywne podejście do kompozycji.

*Commander John J. Adams
/www.zakazanaplaneta.pl/*

[tytuł od redakcji „Info”]



muzyka = fantastyka = fantazja

DWIE WIZJE JEDNEJ BAŚNI

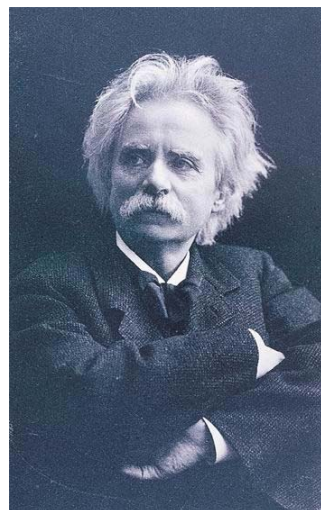


Pamiętam jedno z moich pierwszych muzycznych zauroczeń. Wprawdzie dawno to było, za czasów szkolnych jeszcze, ale pamiętam. Zaiste ginie w mrokach dziejów ta chwila, kiedy zaczynałem dopiero odkrywać, że muzyka klasyczna potrafi również (i to nie w gombrowiczowskim sensie, a naprawdę) wzbogacać – przy czym nie różniło się wiele owo zauroczenie od większości początkowych zauroczeń większości słuchaczy. A stało się to w dniu, kiedy zupełnie przypadkowo usłyszałem w radiu „Poranek” Griega. Tak się najczęściej znajomość z klasyką zaczyna: albo od „Poranka”, albo od Bolera, albo od pierwszych czterech nutek Piątej symfonii, czyż nie? Ja w każdym razie zacząłem od „Poranka”.

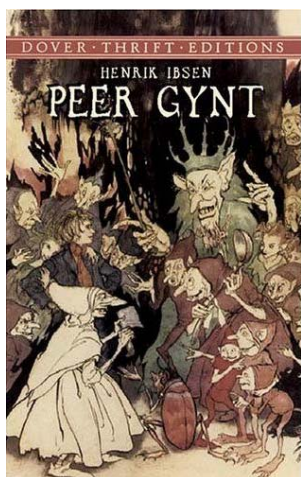
Nic jeszcze wtedy nie wiedziałem: ani jak się nazywa ten, kto to napisał, ani kiedy, ani skąd utwór pochodzi i czy o coś tam w ogóle chodzi. I tak nie miało to dla mnie wówczas większego znaczenia wobec aury niezwykłości, jaka emanowała z radiowego głośnika, wywołana niezwyklej linią melodyczną i wobec dziwności nastroju, w jakim cały ten utwór pławił się z rozkoszą. Wtedy uświadomiłem sobie po raz pierwszy, że tuż obok mnie istnieje jakiś drugi, nieznanany świat. Muzyka była cudowna jak wiersz i słoneczna jak slajd. Wtedy po raz pierwszy znalazłem się – co prawda jako smarkacz, w sposób jeszcze nieświadomy – pod absolutnym wpływem jej magii, nieokreślonej w słowach mocy oddziaływania; a nie mając zielonego pojęcia o harmonii, fakturze muzycznej, agogice i tym podobnych strasznych rzeczach, rozumiałem jedno: w tym „coś” jest... I co ciekawe – mój podziw dla tej kompozycji trwa właściwie do dziś. Ależ, bo to jest muzyka! Jaką siłę ma w sobie, jak bardzo potrafi być sugestywna i obezwładniająca, kiedy poszczególne takty, a za nimi frazy, wraz ze słońcem wstającym nad horyzontem, oślepiającym blaskiem poranka obejmują we władanie dosłownie cały świat. Cała natura, wszystkie zmysły i uczucia budzą się do życia pod dotknięciem ożywczego, słonecznego światła. Wszystko w tej muzyce rodzi się, oddycha, brzmi, porywa i zniewala. To zakrawa wręcz na inicjację. Wstaje dzień.

Choć po latach dochodziły do mnie kolejne części suity: „W grocie Króla Gór”, „Taniec Anitry” czy „Pieśń Solvejgi” (zwłaszcza) – ów pierwszy zachwyt nad „Porankiem” zapamiętałem jako jedno z najpiękniejszych przeżyć muzycznych, o mało co metafizycznych. Po latach już jednak wiedziałem, kim był Edward Grieg, jakiego utworu częścią są powyższe tytuły i kim jest jego tajemniczy bohater o egzotycznie brzmiącym nazwisku.

„Peer Gynt” – suita Edwarda Griega i jej literacki bliźniak – poemat Henryka Ibsena opatrzone są tym samym tytułem. Dwa utwory i jeden bohater, raz zaklęty w słowie, drugi raz w dźwięku. Jeden ofiarował cielesność i działanie, drugi brzmienie, nastrój i ducha. Jak się spotkali? Nieprzypadkowo. Jeden był drugiemu potrzebny, jeden nie chciał bądź nie mógł bez drugiego się obejść.



W 1876 roku, z inspiracji pewną norweską legendą, spod pióra Ibsena wyszedł „Peer Gynt”, filozoficzna przypowieść z morałem, stawiająca uniwersalne pytania dotyczące nie tylko istoty człowieczeństwa, ale i świata, życia, wiary, przeznaczona do wystawienia na scenie. Dzieło zrodzone z kultury dla nas arcyatrakcyjnej, egzotycznej, z ducha norweskich mitów i baśni północy, skandynawskiej wrażliwości, lśniącej uwodzicielskim blaskiem nieco surowego i mrocznego piękna. Oferujące barwną galerię postaci z krwi i kości, obdarzonych psychologiczną głębią, lecz i nie wolnych od przyziemnych słabostek czy ułomności, kochających i kochanych, nienawidzących i nienawidzonych, zagubionych i poszukujących właściwej drogi w życiu. Obok nich – a może lepiej będzie powiedzieć: pod ich wpływem – wkracza na scenę barwny korowód fantastyczności w postaci trolli, wiedźm, koboldów, goblinów i elfów, a także bliżej niezdefiniowanych indywiduów, które jako wyraziciele filozoficznych prawd mają znaczny wpływ na postawę przede wszystkim głównego bohatera. Ot, choćby Przetapiacz Guzików, w samej rzeczy wysłannik Śmierci, pragnący po śmierci zamienić ciało Peera w guzik, gdyż za życia chłopak był tak wewnętrznie nijaki i pusty, do guzika jako żywo podobny; na przekór jednak bezlitosnym wyrokom z Góry, miłość i wyznanie Solvejgi ocala bohatera. Jest Dziwny Pasażer i śpiewający Posąg Memnona, Głos w ciemności i Ptasie Krzyki.



Kiedy dzieło było gotowe Ibsen zwrócił się do Griega o napisanie muzyki do wybranych scen (czyli czegoś w rodzaju soundtracku, jakbyśmy to dziś powiedzieli). Powstały wówczas dwadzieścia trzy utwory, które jednak z czasem stopniowo wykruszały się, by ostatecznie, po upływie lat kilku, ograniczyć się do ośmiu najbardziej dla tekstu reprezentatywnych. Te z kolei maestro podzielił na dwie części, stanowiące jednak zwartą całość tak pod względem dramaturgicznym, jak i psychologicznym. Lecz w miarę jak utwór zmniejszał swoją objętość, zyskiwał jednocześnie sceniczną niezależność i całkiem już osobną od tekstu popularność. Z czasem poemat Ibsena niemal zniknął ze sceny, a suita po dziś dzień trwa w chwale arcydzieła. Tak powstał utwór, który na panteonie muzyki lśni od ponad wieku zasłużonym blaskiem chwały, znany i podziwiany, poruszający głębią formy, pięknem melodii i nieco „zimnym”, skandynawskim klimatem.

Utwory Griega, pełniąc głównie rolę kreatora nastroju i psychologicznego tła, siłą rzeczy zmuszone są odstąpić od prezentacji większości bohaterów. Ostał się na szczęście Król Gór, czyli starzec z Dowru z poematu Ibsena, którego piękną córkę Peer pragnie w pewnym momencie pojąć za żonę. Jednak Król i jego dworzanie, którymi okazują się byćtrolle, koboldy i wszelkie inne baśniowe stworzenia powołane do życia piórem Ibsena, nie są tym projektem specjalnie zachwyceni. Król zamierza nawet oślepić niedoszłego zięcia. Peerowi nie pozostaje zatem nic innego, jak zastosować klasyczne „angielskie wyjście” z sytuacji. Wycofuje się z wolna. Wraz z ilustrującym to rewelacyjnym narastającym współbrzmieniem fagotu z kontrabasem, rozbrzmiewa istna muzyczna perełka. Oto następujące po sobie regularnie miarowe nuty-ósemki imitują kroki uciekiniera: cichy, skradający się chód. Siłą rzeczy przychodzi na pamięć Bolero Ravela i jego słynna ekspozycja jednego tematu, stopniowo rozbudowywanego przez kolejno dochodzące instrumenty. „W grocie Króla Gór” jest podobnie. A na dodatek jest to czyste, dźwiękowe naśladownictwo: z początku ciche i ostrożne stapanie umykającego bohatera, linia melodyczna we wszystkim podporządkowuje się rytmowi. Wciąż jeszcze basują dwa instrumenty, znakomicie podkreślając napięcie. Tymczasemtrolle nie śpią. Pościg

rusza. Rytm utworu, w rytm kroków pogoni zdecydowanie przyspiesza. Coraz szybciej i głośniejszy, coraz mocniej i prędzej, jakby pościg był coraz bliżej. Ociężały, zbasowany rytm, jednoznacznie kojarzący się z nastrojem filmów grozy. Napięcie wciąż wzrasta, instrumentów przybywa, a i pogoń jest coraz bliżej. Gdy Peer jest już w pełnym biegu, gra już cała orkiestra. Dopada jakichś drzwi. Szarpie (kotły)! Zamknięte (akord)! Dogania go Król (kulminacja napięcia – fortissimo nagle urwane – zawieszona w powietrzu cisza). W końcu chwytą zbiega i rzuca nim o drugą parę odrzwi, które pod ciężarem ciała otwierają się i młodzieniec wypada na zewnątrz. Upragniona wolność – krótki pasaż orkiestry fortissimo i... potężny akord na finał. Koniec sceny malowanej wyobraźnią Ibsena. Koniec muzycznej wizji Griega.

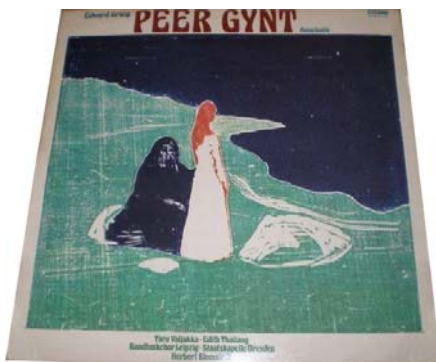
„W grocie Króla Gór” jest jedynym utworem o charakterze czysto ilustracyjnym, czy imitacyjnym wręcz, w „Peer Gyncie”. Jedynym – lecz za to trudno znaleźć w całej literaturze muzycznej drugi, równie sugestywny i porywający przykład.

Dzieło Griega o tyle różni się od literackiego pierwowzoru, że nie niesie z sobą jego ideowego przesłania, nie stara się pouczyć, napominać, uzdrawiać. Za to zachwyca i wzrusza. Czy to będzie „Śmierć Azy”, czyli scena powrotu Peera z wygnania pod dach rodzinnego domu: Aza, jego matka, leży właśnie na łożu śmierci, lecz los jest dla niej łaskawy, może jeszcze, zanim umrze, zobaczyć syna. Peer stara się odegnąć od niej strach przed śmiercią, więc zajmuje jej uwagę, opowiadając swoje przygody: poważna tonacja utworu prowadzi linię melodyczną w krainę smutku i wyciszenia. Zanim opowieść dobiegnie końca, matki już nie będzie. Melodia zwalnia, ułatwia przynębiającą tonacją, by w końcu wygasnąć, milknąć w obliczu śmierci. Pozostaje smutek wyrażony odpływającymi dźwiękami kontrabasów.

Równie piękny, choć odmienny w nastroju i charakterze, jest utrzymany we wschodniej melodyce i harmonii „Taniec Anitry” (córci arabskiego szejka) czy przepojona najczystsza liryką – moja ulubiona! – „Pieśń Solvejgi”. Ta ostatnia zasługuje na szczególną uwagę, gdyż dość trudno wyjaśnić, na czym polega jej fenomen. Niby nic wyjątkowego: wyciszona, spokojna, wręcz leniwie snująca się linia melodyczna, harmonia prosta, a całość przecież zniewalająca, przykuwająca uwagę każdego, kto zechce jej uważnie posłuchać. Tajemnicza, dziwna, przeniknięta ciepłem, a zarazem „skażona” jakimś ledwie wyczuwalnym smutkiem, do głębi przejmująca liryzmem – wyzwala naprawdę niezwykle emocje. Wzrusza i zachwyca. Obok „Poranka” to kolejny prawdziwie magiczny utwór w suicie Griega.

Całość dzieła okraszona tańcami różnych kultur, funkcjonującymi jak wizytówki krain nawiedzanych przez bohatera, pozostaje na długo w pamięci słuchaczy. A choćby po jakimś czasie z głowy uleciały melodie – nastrój pozostanie. On tak łatwo nie ulegnie zapomnieniu. A z nim razem piękno. A nad tym wszystkim unosić się będzie dyskretna woń tajemnicy...

Andrzej Habasiński



www.wielki-brat.pl - czyli iluzja

(kilka uwag na temat braku czegoś... ważnego)

Wszyscy siedzimy w naszej-klasie. Jedni silniej, inni mniej.

Z uporem maniaka sprawdzamy, kto „dołączył”, szukamy tych, których pamiętamy i czekamy, mając nadzieję, że dana osoba sobie o nas przypomni. Kiedy już zbierze się jako takie grono – spotykamy się wszyscy przy piwie, wspominamy dawne klasowe numery, opowiadamy co u nas. Potem rozchodzimy się do domu

I co?

I otóż właśnie, że nic...

Dokładnie nic!

Prawie całe polskie społeczeństwo ogarnął „klasowy amok”. Masowo zapisaliśmy się do naszej-klasy. Ulegliśmy zbiorowej „halucynacji”, że serwis ów jest nam do czegokolwiek potrzebny. Po prostu każdy musi mieć swój profil, zapisać się, pokazać rodzinę na zdjęciach, willę i samochód z basenem – w ostateczności nie spałona kawalerkę z kredytem na dwadzieścia lat (ale z nadzieją na lepsze).

Czytamy same dobre wiadomości – bo przecież nikt nie napisze, że właśnie rzuciła go żona, że jego dziecko ciężko choruje, że ten samochód, który stoi obok na zdjęciu, to nędzny gruchot.

Na tym serwisie nie ma złych wiadomości.

Wszyscy jesteśmy młodzi piękni i przystojni...

A gówno prawda!

Ale przecież nie uchodzi powiedzieć, jaka jest prawda. Prawda?

W drodze do pracy spotykam nieraz kolegę (mniejsza o to, jak ma na imię i co robi) – wrak człowieka: wiecznie pijany, wiecznie obdarty i cuchnący.

Ale w necie jest panem nauczycielem historii w renomowanym liceum. Tylko że tak naprawdę handluje kwiatami w przejściu podziemnym dworca. Jakoś zarabia na piwo i internet (pewnie też w myśl jednego z naszych przywódców politycznych ogląda również pornostrony).

Ale w naszej-klasie – to panisko!

Cóż – internetowa iluzja...

A każdy, kto naruszy święte status quo i powie, że król jest nagi – może spotkać się z ostracyzmem i stosem kamieni.

Z drugiej strony – właściwie to kogo to obchodzi, nie? Niech już tam sobie robi, co chce... Byłoby nikt nie naruszył nam iluzji, żeśmy piękni, młodzi i bogaci...

A niekiedy nie chce się nam nawet odezwać słowem jeden do drugiego. Owczym pędem zapisaliśmy się do klasy, a klasowe forum stoi puste. Nikt nie chce o niczym rozmawiać...

To, na Boga, po co się było zapisywać? Dla samego istnienia w jakiejś wirtualnie nieokreślonej społeczności?

Czasem rozmawiamy na ogólnoszkolnym forum, ale tam też niewiele się dzieje: ot życzonka z okazji świąt, wspominki nauczycieli – z tym że niektórzy są odsądzeni od czci i wiary (obrzucani błuzgami i tak się nie bronią); zresztą – co to za odwaga obrzucić kogoś z nauczycieli błotem, jakby to miało coś obecnie zmienić, jakby te dwadzieścia lat nie minęło i mózgi przez to nie zrobił się mądrzejszy?

Bo wszyscy nagle znów wróciliśmy do klasowych ławek i siłą rzeczy klasowy błazen znów jest klasowym błaznem, a klasowe popychadło popychadłem. A ten, którego nie lubiliśmy, to też tak jakoś jest przez nas nie lubiany... Pod tym względem nic się nie zmieniło! Mogło przybyć siwizny albo ubyć włosów, ale ten „Malinowski” to i tak pozostanie „skurczysynem”, jak był...

I tylko spróbujcie coś zaproponować. Choćby klasową kwestę na remont szkolnych kibli, bo te nic się nie zmieniły przez te dwadzieścia lat: śmierdzą tak samo.

Zaczyna się rwetes, że to państwo jest odpowiedzialne, że zła szkoła, rodzice, dzieci – tylko nie my, bo my to nie: my byliśmy grzeczni, a te wypalone w kibelku papierosy to się same paliły i pety gaszone na ścianach to też jakoś tak same, nie?

Spróbujecie coś zaproponować rozsądnego i prostego – ale nie dla nas, tylko dla owej szkoły, którą tak teraz ochoczo wspominamy.

Ni chuja – po moim trupie! Niech się inni martwią... Byle ja bym był zdrowy piękny i bogaty. My możemy się spotkać w knajpie – wypić piwo, powspominać, wydać dwa razy więcej pieniędzy, niżli potrzebne byłoby na rzecz owych kibli czy posadzki na drugim piętrze, gdybyśmy się razem wszyscy zebrali.

Bo nie ma przełożenia. Że my, absolwenci tej szkoły, jesteście jej solą, że prestiż szkoły się wzmacnia poprzez silne lobby oddziałujące na szkołę. Bo można dzieciakom jakoś pomóc. A przez to – może pomóc i sobie samym?

Czasem to niewiele kosztuje. Ale wymaga czegoś, czego się boimy: poświęcenia komuś uwagi, miłego stosunku człowieka do człowieka.

Ale my wolimy patrzeć się jedynie w ekran komputera i żyć ze świadomością, że się „tu jest”. Brak tylko odpowiedzi na pytanie – dlaczego?

A teraz wyobraźmy sobie, że już się spotkaliśmy, pogadaliśmy raz i drugi, wypiliśmy te piwo – co dalej? Ano nic; problemy, które mamy, nie znikną. Za to nie będzie już o czym rozmawiać na szkolnym forum. Bo przecież już pogadaliśmy, już się pochwaliliśmy.

I?

I mamy tylko olbrzymią bazę danych adresowych, która za rok (może trochę więcej) umrze śmiercią naturalną – bo nie będzie już o czym i po co rozmawiać – i pozostanie czystym zyskiem firmy. Takie dane zawsze można komuś opylić...

Wicie, kto jest najpopularniejszą osobą w naszej-klasie? Nie Michał Wiśniewski, nie Jarosław Kaczyński – ale... Ryszard Ochódzki! Tak, tak: postać fikcyjna!!! Jeszcze jeden dowód na to, że mimo wszystko chcemy być anonimowi; bo przecież gdyby ten osobnik podał swoje prawdziwe imię i nazwisko – zebrałyby owych znajomych znacznie, znacznie mniej...

Ten ktoś ma ponad dwadzieścia tysięcy znajomych.

Zastanawiam się tylko – po co?

Czy chociaż z jednym z nich zamienił dobre słowo?

Do mnie też zgłaszają się ludzie, którym mówiłem „dzień dobry” w pracy. Nie wiedziałem nawet, jak się nazywają – do momentu, kiedy zaproponowali mi „znajomość”.

Nie odmówiłem, choć – mówiąc szczerze – za bardzo nie wiem, po co to zrobiłem. Są tacy, dla których ów portfel znajomych jest powodem dumy, ale...

...to wszystko jest tylko iluzją!

Mam przyjaciół, nie muszę ich szukać w internecie. Spotykam się z nimi. Wolę to zrobić twarzą w twarz – a nie poprzez pośrednictwo iluzji.

Wiem, wyszedł mi nieco gorzki tekst. Może zawiodłem się na naszej-klasie: może oczekiwałem jakiejś siły, a dostałem jedynie „dobre samopoczucie”. Coś w rodzaju Wielkiego Brata, bo mogę sobie popatrzeć na ludzkie twarze i poszukać... – sam nie wiem, czego.

Mogę tworzyć fikcje i zostać najfajniejszym Ktosiem – Batmanem, Supermanem, Ryszardem Ochódzkim – ale przecież nic to nie zmieni. Nadal będę czterdziestoletnim safandulą siedzącym przy komputerze. Nikim więcej...



SPROSTOWANIA PRIMAAPRILISOWE

☺ Nie zostaliśmy zdymisjonowani, a „Informator” ukazuje się w niezmienionej formie.

☺ Jak dotąd żaden krezus nie odpalił nam procentu ze swego podatku, tegoroczny Nordcon odbędzie się tradycyjnie w północnej części Kaszub – zaś Doda mogłaby się na nim pojawić jedynie dzięki wykupionej akredytacji.

☺ Nie było rozmów o fuzji GKF-u z ŚKF-em, a wejherowski Draconis pozostaje klubem niezależnym.

☺ Nie znamy dalszych planów twórczych Sapka; nie nie wiemy też o dalszych częściach „Indiany Jonesa” i „Gwiezdných wojen”.

☺ Na razie raczej nie szykują się gry komputerowe ze świata Kamyka i ze świata wampirów, zaś w Hollywood jeszcze nie odkryto „Wiedźmina”.

☺ Łębork niezmiennie pozostaje Łęborkiem.

☺ Łódzcy studenci nie dokopali się do fantastycznej klasyki – a poetka Tażan, wraz z całą otoczką, nie istnieje.

☺ Nasz muzyczny korespondent nie kompletuje dyskografii Rubika w żadnej postaci.

☺ Papier, przynajmniej jak dotąd, nie został pisarzem, a Pipidżej – naukowcem.

☺ VI tomiku „Wampirów” nie będzie – trudno byłoby go więc otrzymać jako bonus lub nabyć podczas komiksowej imprezy na Suchaninie; natomiast zamieszczone wewnątrz numeru plansze Szyłaka i Przechlewskiego pochodziły ze starego „Czerwonego Karła”.

☺ Autor „Kapitału”, twórca psychoanalizy oraz inicjator peronu we Włoszczowie nie są i nigdy nie byli członkami GKF-u.



Redakcja „Informatora”

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.art.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. naczej.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: Izabela Kaszuba

GRAFIKA: Christian Holl (3), Piotr Terszel (27), Jan Plata-Przechlewski (28)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR

229

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji